

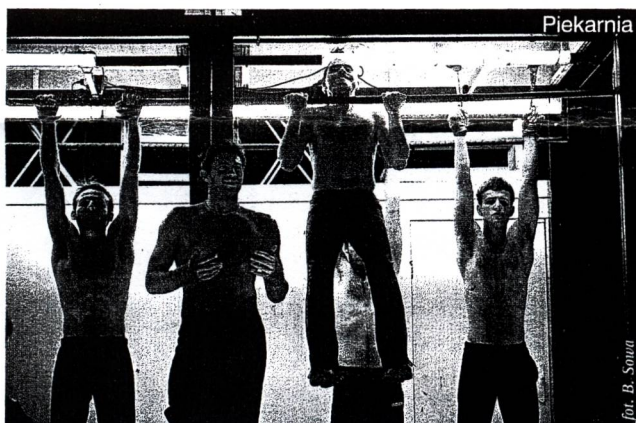
O miłości i innych demonach

Zacząło się od Brechta. Potem był Dürrenmatt, Masłowska, co prawda tylko w jednoaktówce, wreszcie Szekspir. Niezły początek sezonu.

Nieszczęścia wdowy Queck

W *Starym Teatrze* sezon rozpoczęła efektowna inscenizacja nietłumaczonego wcześniej tekstu Bertolda Brechta. *Piekarnia* powstała w latach 1929–1930, u progu wielkiego gospodarczego kryzysu. Fabuła, opowiadająca losy ubogiej wdowy Queck, z dramatyczną konsekwencją zmierza do katastrofy. Jednoznaczna, mocna i krzycząca o sprawiedliwość, niczym pierwsza strona popularnego tabloidu.

Reżyser Wojtek Klemm przez ponad 20 lat mieszkał w Niemczech, tam studiował, był też asystentem Franka Castorfa w Volksbühne w Berlinie. Nic dziwnego, że Brechta czuje, rozumie, po-



trafi się mu także przeciwstawić. Aktorom zdarza się więc wychodzić z ról, kwestionować w toku akcji brechtowską maszynę. W pracy nad przedstawieniem niemalże znaczenie musiał mieć fakt, że *Piekarnia* to sztuka nieukończona przez autora, nieznaną wcześniej w Polsce. Przetłumaczona specjalnie dla Starego Teatru ma charakter warsztatowy, daje sobą manipulować. No i nie towarzyszy jej muzyka Kurta Weilla będąca często siłą, ale i niezręcznie ograniczeniem w interpretacji.

Klemmowi udało się poprowadzić Brechta z precyzją, wręcz brawurą. Co jednak ze słynną społeczną impertynencją Brechta mającą budzić naszą wrażliwość i współczucie dla bohaterów? Ano właśnie. Tak efektownie przyrządzone sceniczne dzieło ogląda się nie bez przyjemności, ale bez jakichkolwiek moralnych rozterek. Jest jak w operze – czasem pięknie, czasem śmiesznie, ale nikt nie traktuje tego poważnie. Tylko satysfakcja estetyczna gwarantowana.

Dürrenmatt u Słowackiego

Frank V – komedia bankierska Dürrenmatta zadziwiająco zrymowała się z premierą sztuki Brechta w *Starym*. Tekst nieco zbliżony tematycznie do *Opery za trzy grosze* opowiada mroczną historię bankierskiej rodziny uwikłanej w podejrzane interesy.

Dürrenmatt to prawdziwy specjalista od kryminałów z drugim dnem. Utrzymana w konwencji groteski i czarnego humoru tragedia komedia muzyczna staje się (cytuję program) „swego rodzaju metaforą współczesnego świata owładniętego pogonią za pieniądzem, skażonego zanikiem prawdziwych relacji międzyludzkich i kryzysem wartości”. Nieprzypadkowo ten nieco dziś zapomniany

tekst, z niepokojącą muzyką Paula Burkharda, wystawiali m.in. Swinarski i Jarocki.

Doceniam wysiłek reżysera Krzysztofa Babickiego włożony w inscenizację, niestety wrażenie owego wysiłku nie opuszczało mnie przez cały spektakl. Reżyser przyrządził komedię w duchu ekspresjonistycznym, przyciężkawym, nawiązując do stylistyki przedwojennego kina. Stąd na scenie dominują przerysowania i kontrasty, długie płaszcze i długie cienie, groteskowe efekty i kontrastowe akcenty. Wszystko w atmosferze namaszczenia i powagi. Humor przebija się z trudem i jakby mimochodem, raczej w indywidualnych akcjach niż w pracy zespołu – czasem w dyskretnym, lekko lirycznym sposobie bycia Krzysztofa Jędryska, czasem w postaci Rafała Dziwisza podążającej gdzieś w stronę estetyki Kabaretu Starszych Panów.

Tekst niby zabawny, pełen solenności, ze szwajcarską precyzją wyznaczonych point, ciągnie się bezlitośnie mimo zaangażowania aktorów, mimo zaangażowania dawno nie oglądanej w Krakowie Beaty Fudalej. Obawiam się, że reżyser zastosował po prostu zbyt ciężki kaliber – zapatrzył się na Brechta, zasluchał w echa Kurta Weilla. Forma przysgniotła treść, co dla komedii jest zabójcze.

Werona w STU

Ten spektakl może zdezorientować. Na scenie pojawia się jednocześnie kilka par kochanków, są aż trzy Julie i dwóch Romeów. Reprezentują różne pokolenia. Najważniejsza jest jednak Pierwsza Julia, Julia najstarsza – Anna Polony. Pierwsza Julia prawie nie schodzi sceny, leży w kącie na szpitalnym łóżku. Umierając, na chwilę przed śmiercią ogląda całe swoje życie niczym na ekranie. I powtarza: „Przed egzekucją skazańcom podobno zdarza się chwila euforii. Dozorcy zwą taki moment ostatnim przeblyskiem”.

A zatem *Romeo i Julia* w Teatrze STU to ów „ostatni przeblysk”, projekcja wyobraźni umierającej kobiety: może sen, na pewno nie jaw, być może jakieś marzenia, okruchy rzeczywistości. I opowieść o wielkiej miłości, która w obliczu śmierci wydaje się najważniejszym, najpiękniejszym doświadczeniem. Choć to, co każe nam oglądać Agata Duda-Gracis wcale piękne nie jest.

Świat wykreowany na scenie nie jest romantyczny, niewiele ma wspólnego z liryką słynnych szekspirowskich miłosnych dialogów, nosi także znamiona szaleństwa, absurdu i groteski. Młodzi kochankowie nie są ani piękni, ani specjalnie młodzi. Można





Frank V – komedia bankierska ▲

założyć, że ulegli presji działania instynktów, ich uczucie nie ma w sobie żadnej poezji. Romeo Radka Krzyżowski to wymiętowany, zmęczony życiem operetkowy żigolak, Julia Izabeli Noszczyk – ubrana na różowo, infantylnie zachowująca się grubaska.

Pozostaliby może ten dziwaczny świat jedynie wybrykiem reżyserskiej wyobraźni, gdyby nie rola Anny Polony. Jej obecność na scenie jest zadziwiająco dyskretna, zminimalizowana do prostych, nieskoordynowanych gestów, paru wypowiedzianych nieoczekiwanie słów. A jednak niesie żar i nadzieję, przekreśla absurd świata wypełnionego chorymi uczuciami. Aktorstwo na tym poziomie redukcji jest przywilejem tylko największych, a Polony pokazuje w tym spektaklu klasę mistrzowską.

Blogi na scenie

Nie mam specjalnych uprzedzeń, blogi na scenie ani mnie oburzają, ani egzaltują, jak niektórych kolegów. Jednak teksty zaprezentowane w Starym Teatrze w ramach projektu blogi.pl nie są literaturą najwyższych lotów. Internet jako źródło literackich inspiracji to bez wątpienia ciekawy trop, ale bardzo zawodny. Porównywanie zaś bełkotliwych wyznań anonimowej damy z twórczością Becketta (sic!) wydaje się, delikatnie mówiąc, nie trafione. Nawet jeśli w bełkot zaangażowana jest sama Iwona Bielska.

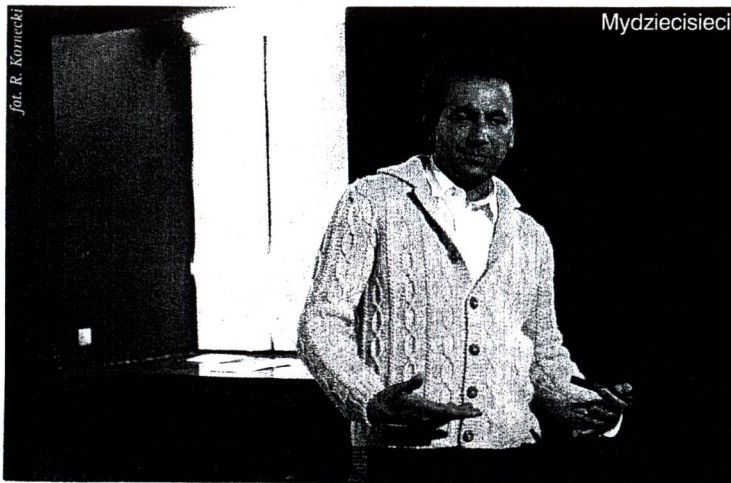
Z trzech pokazanych w Starym Teatrze jednoaktówek *Mydziecisi* zdecydowanie się wyróżnia. Nie powinno to dziwić, tekst opracowała Dorota Masłowska, pisarka obdarzona absolutnym słuchem na współczesną polszczyznę, prawdziwa mistrzyni języka zdegradowanego, tak lubianego przez sieć. W roli Alinki zachwyca Adam Nawojczyk, aktor, którego energia i brawura zaczynają wydawać na scenie nieprawdopodobne, niepokojące wręcz owoce. Niepokój zawarty jest też w samym tekście: nieoczywista jest pleć autora/autorki, niejasny sens jej komentarzy – świadomie prowokują, czy są tylko naiwne, manipulują naszą niepewnością, czy też stworzył je ktoś w typie naturszczyka Gracjana Roztockiego, internetowego celebryty eksploatowanego przez cyniczne media? Nawojczyk jest jednocześnie mężczyzną i kobietą, wygaduje bzdury i zaskakuje trafnością swoich refleksji. Do końca się nie odsłania, przez co bywa naprawdę przerażający. Tak niepewnie dawno się w teatrze nie czulałam. Brawa dla reżyserii Szymona Kaczmarka.

I jeszcze Pan Marimba

Inauguracja nowego gmachu Opery Krakowskiej *ante portas*. Tymczasem w odnowionej i przebudowanej dawnej ujeżdżalni, czyli w siedzibie operetki zadebiutowała Scena na Antresoli – znaczny pomysł kameralnej przestrzeni, w której odbywać się będą przedstawienia dla najmłodszych lub małe spektakle baletowe.

Pan Marimba to współczesna opera dla dzieci. Kompozycja Marty Ptaszyńskiej, utwór, który przez 8 sezonów przyciągał młodą publiczność do Teatru Wielkiego. Obym była złym prorokiem, ale w Krakowie chyba nie uda się powtórzyć tego sukcesu... Co dobrego można o tym widowisku powiedzieć? Że jest bezpretensjonalne, dzieci naturalne, a atmosfera na scenie w niewymuszony sposób radosna i kolorowa. To niemalże zasługa reżysera Włodzimierza Nurkowskiego. Rozczarowują jednak ważne szczegóły – banalna choreografia, z której co rusz wylania się na scenie chaotyczny tłok i dosłowna, mało pomysłowa scenografia. Tak malownicze i egzotyczne kraje jak Japonia czy Meksyk naprawdę da się zasygnalizować inaczej niż z użyciem lopatologicznych rekwizytów czy wjeżdżających na scenę tekturowych plansz... Szkoda energii kierownika muzycznego spektaklu Sławomra A. Wróblewskiego, który nie ogranicza się do roli dyrygenta, ale jest prawdziwym *spritus movens* wydarzeń na scenie. Spektakle dla dzieci bezlitośnie obnażają brak inwencji realizatorów. W porównaniu w tym, co w Krakowie proponuje dla najmłodszych Groteska, *Pan Marimba* to widowisko zdecydowanie z drugiej ligi.

Justyna Nowicka



Mydziecisi



Pan Marimba